

**Miasto, stiukoworóżowe**, białe jak brzuch ryby, przybrane glicyniami, pełne kołyszących się palm, miasto o zapachu gnijących owoców roztrzaskanych u podnóża drzew: mango, papai, przepysznej mandarynki; wyobraźcie sobie to miasto, jak bielejąc, wynurza się z koralowych ławic i przecina powierzchnię morskiej kąpieli – zatopionego świata ryb. Tak moja żona, Meredith, nazywa ocean. Jej ojciec był poławiaczem ostryg. Dziś to, rzecz jasna, wymarłe zajęcie, jak tyle innych, które niegdyś żywiły ten raj. Kiedy tak wyglądam przez lufcik, widzę, jak rodzina Meredith przegrzebuje plażę. Pochyleni ryją w mokrych wydmach plastikowymi dziecięcymi łopatkami: żółtymi, czerwonymi, niebieskimi. Żółta – wiem o tym – należy do matki Meredith. Mam ochotę zawołać Helen, pomachać jej i się przywitać, ale wiem, że nigdy nie spojrzy w moją stronę po tych okropnościach, jakie spotkały w mojej piwnicy maleńką kasztanowłosą Sarę Miller na początku zeszłego tygodnia.

Istna tragedia.

Kopiący posuwają się nierówno wzdłuż wybrzeża. Kto by pomyślał, że wokół magicznych właściwości martwych morskich stworzeń może wyrosnąć przemysł dający zatrudnienie mieszkańcom? Ale tak jest. Wystarczy popatrzeć w głąb lądu. Oto dawna szkoła podstawowa, w której salach zegary niezmiennie ogłaszają trzecią. Teraz to fabryka. Są tam w środku, dzień i noc, produkują fetysze z rozgwiazd i totemy z muszli porcelanek, strzykw, wyrzuconego na brzeg drewna. Słyszę, jak frezarki z chrzęstem nadają cennemu czarnemu koralowi postać kolczyków i wisiorków, które noszą tu wszyscy, i słyszę warkot tuzina kosiarek z silnikiem diesla zaparkowanych pod szkołą, produkujących dodatkową moc, dostarczaną przewodami wysokiego napięcia wijącymi się jak czarne węże pod drabinkami placu zabaw, na asfalcie boiska do koszykówki, wokół siatkowego ogrodzenia kortów tenisowych.

Na korcie centralnym kobieta w białym stroju wybija piłkę; ta chwyta olśniewające światło dnia, odbite od wody kanałów przeciwpowodziowych wzdłuż South Main – fragmentu sieci przybrzeżnej: przecinających osuszony teren zalewowy głębokich odnóg rojącej się od aligatorów wody. Rakietka tenisistki posyła piłkę na przeciwległy kort. Nie ma na nim nikogo, same piłki. Ta kobieta prowadzi sklep z odzieżą dziecięcą przy Pettigrew. Podnoszę lornetkę i ustawiam ostrość na drobiny, które osiadają na jej lustrzanych okularach przeciwsłonecznych, oglądam w zbliżeniu ceglany pył wzbijany w grzybach eksplozji przez jej posuwiste kroki. A na plisowanej spódnicy tenisowej widać szare przybrudzenia

od glinki zerwanej z nawierzchni przez uderzające w nią piłki, przeniesionej na spoconą rękę, wytartą w roz-targnieniu w promiennym letnim upale, który słodko przyjmuje w siebie cząsteczki ozonu pod nadpływającymi chmurami.

Popołudniowy deszcz zbliża się z zachodu. Kobieta serwuje, nadciąga deszcz; a teraz drzwi szkolnej stołówki – świeżo pomalowane na głęboki ciemnogrnatowy kolor, co być może ma jakieś znaczenie, ale równie dobrze może nic nie oznaczać – otwierają się; jakiś mężczyzna, wychyliwszy głowę, spogląda w górę na nadciągającą ścianę wody. Widzę jego grubo ciosaną twarz. To Ray Conover, którego żona, Miriam, zginęła w okropnych okolicznościach, kiedy Jim Kunkel odstawił tę żalosną, głupią pokazówkę z odpalaniem na chybił trafił pocisków ze stingera do sadzawki lustrzanej w Ogrodzie Botanicznym. Tamtego dnia wielu odwiedzających poniosło śmierć. Wciąż widzę Raya, jak idzie środkiem Main i nie zważając na ruch uliczny, cały we krwi, niesie zwłoki żony.

To było pod koniec lata, ledwie chwilę temu, mniej więcej w tym czasie, kiedy powinna była zaczynać się szkoła, co jednak nie nastąpiło, ponieważ, rzecz jasna, szkoły przepadły, gdy podatnicy zdecydowali o zaprzestaniu finansowania systemu.

To była czarna godzina. Zebraliśmy się – członkowie rady i ciało pedagogiczne w liczbie nadal zatrudnionych i zdolnych prowadzić lekcje – i postanowiliśmy, że utrzymamy szkołę, choćby z własnej kieszeni, jeśli zaistnieje konieczność, jednak poza tym nie byliśmy w stanie dogadać się co do umiejscowienia oddziałów przedszkolnych,

wczesnoszkolnych i starszych dzieci. Nie potrzebowaliśmy wcale dużo miejsca. Bynajmniej. Dzieci była niewielka gromadka i mogliśmy bez większych trudności przyjąć założenia Little Red Schoolhouse. Jednak my wszyscy, Meredith, ja, Doug, Marty, Allan, Simone, wszyscy, opowiadaliśmy się za odrębnością przedmiotów nauki i podnoszeniem poczucia własnej wartości ucznia w toku rozwoju napędzanego stopniowym zwiększaniem wymagań. W młodszej klasie biologia, w kolejnej chemia. Tu nie zamierzaliśmy odpuszczać. Dlatego obstawaliśmy przy salach lekcyjnych przypisanych poszczególnym klasom i oddzielnych pomieszczeniach dla kursów fakultatywnych – i to przy świadomości, że na niektóre kursy zgłosi się tylko dwoje czy troje uczniów, albo jeden, lub żaden.

Byliśmy wystraszeni. Mieliśmy zszargane nerwy.

Dzisiaj, gdy siedzę tu na moim strychu, zamknięty na kłódkę, ze stertą notatek do lekcji i tą „superszerokokątną” lornetką polową, za pomocą której szpieguję okolicę – dzisiaj nie jestem pewien, czy opowiedziałbym się za włóczęciem i poćwiartowaniem byłego burmistrza i członka Izby Handlowej. To właśnie zrobiliśmy z Jimem Kunkelem po incydencie z wyrzutnią. Co do mnie, niech mi będzie wolno powiedzieć z tego oto miejsca, iż załuję roli, jaką odegrałem na sądzie kapturowym, który odbył się przed apartamentowcem Jima przy Dune Road.

Tyle że co ja mogłem na to poradzić? Dyskurs obywatelski stawia przed nami niemałe wymagania. Współpraca i towarzyskość bywają wynagradzane na wiele sposobów.

Chciałem mieć budynek dla szkoły. To o dzieciach myślałem, kiedy Jerry Henderson i Bill Nixon, i kilku innych rotarian pozdrowiło mnie w świetle lamp ulicznych. Dobrze wiedzieli o moim czeladniczo-historycznym obeznaniu z łożem tortur, kołem, żelazną dziewicą i resztą. Zaledwie kilka dni wcześniej wygłosiłem odczyt na temat wielu takich narzędzi na lunchu rotariańskim. Moją intencją było nakreślenie paralel między dawnymi i współczesnymi koncepcjami kary i winy oraz pokazanie niektórych sposobów przejścia, a wręcz subtelnej instytucjonalizacji przez dzisiejsze społeczeństwo „barbarzyństwa przeszłości”, bo tak zatytułowałem swój wykład.

Miałem nadzieję powiedzieć coś o tym, jak żyjemy. W trakcie sesji pytań i odpowiedzi stało się jednak dla mnie jasne, że mój wykład w rzeczywistości odniósł zgubny skutek. Czy powinienem był przewidzieć następstwa, ową noc przed domem Jima przy Dune Road, kiedy Jerry i Bill, i tamte bycze chłopaki poklepywali mnie po plecach i mówili, szczerząc zęby w uśmiechu: „Hej, czy to nie nasz Pan Oprawca?”

Na podobnej zasadzie – na ile odpowiadam za to, co ostatecznie, nieuchronnie nastąpiło tylko dlatego, że zasugerowałem wykorzystanie zaparkowanych nieopodal toyot i subaru zamiast koni?